

# Niemowlak pod Grossglocknerem

**Cel** – Wysokie Taury z niemowlakiem

**Kiedy** – wrzesień 2016

**Kto** – Dziku & Aga & Michałek

**Tekst** – Dziku

**Zdjęcia** – Dziku

## Z niemowlakiem w Alpy?

Czemu nie. Tym bardziej, że odpowiedź na pytanie z tytułu znajduje się w poniższym artykule.

O tym, czy pojedziemy z małym w Alpy zastanawialiśmy się już wtedy, jak był w brzuchu. Właściwie to „była”, bo w tamtym czasie przekonani byliśmy, że to dziewczynka będzie. Nawet imię z literek Aga na ścianie powiesiła: Blanka. Jakżeby inaczej, skoro ten mały pasażer w pierwszych tygodniach życia zaliczył z nami Mont Blanc na gapę. Jak się już po urodzeniu okazało, że to syn, to z tych literek próbwaliśmy coś męskiego ułożyć. Wyszło nam np. Baklan, ale brzmiało zupełnie do bani. Wszyte literki poszły na strych i tam poczekają na córę. Imię Bianco (wchodziliśmy na MB od włoskiej strony) też nie przeszło głosowania. Nie spodobał się również ani Everest ani Parbat (wtedy córka dostałaby imię Nanga). I tak – kończąc już ten długi wstęp – stanęło, że syn będzie miał na imię Michał.



## Drzemka przy Hängebrücke



Aguś szybciej



W komplecie pod Grossglocknerem (3798)



Droga do Lucknerhaus



Mamo!



Bolid na pit stopie, chwilę po ucieczce przed peletonem wściekłych krów



Gdzie by tu jutro pojechać?



Tęcza nad Kals. W tle sterczący „nos” – Blauspitz



Chatka nad Kals (Glorergartenalm )



Dolina Defereggental



Fajnie tu



Seebachalm

Dziecko do wyjazdu przygotowaliśmy już wcześniej. A właściwie to bardziej siebie, niż dziecko. Etap ciąży się nie liczy. Zresztą te parę 4-tysięczników z lipca i sierpnia było zdobywane w nieświadomości, ilu nas tam naprawdę wchodzi. Przypominam sobie mój tekst do Grześka, kiedy to Aga zasnęła na kamieniu na podejściu na Mount Pelvoux (po zejściu z Barre des Ecrins i Dome de Neige).

*– Grzechu, ja z nią tyle po górach chodzę, ale takiego spadku sił to u niej nie pamiętam...*

Gdy już po powrocie zostaliśmy uświadomieni, stwierdziliśmy, że młody będzie miał dożywotnią aklimatyzację. Jak Obelix, co to za młodu wpadł do gara.

Co z faktycznymi przygotowaniem? Na pierwszy strzał, z okazji ukończenia przez Michała 4-go tygodnia poszła Ślęza. Dobry test dla logistycznych rozwiązań. Wjazd wózkiem, zejście w chuście. Poszło gładko, dlatego tydzień później za cel obraliśmy Wielką Sowę. Tu trzeba było wsparcia. Szczególnie początkowy odcinek – kamienisty i stromy – wymagał pomocy Pawła. W takich miejscach wózek we dwójkę przenosiliśmy.

Wiedzieliśmy już, że nie ma problemu na szlakach, o ile za dużo kamieni nie ma. Gładko też idzie podczas transportu autem. Przynajmniej do tych 2 godzin w jedną stronę. Ale co będzie, kiedy trzeba będzie jechać godzin 11? Aby to sprawdzić udaliśmy się na urlop na Mazury. I znów Michałek doskonale zniósł podróż, a podczas niej karmienie i przewijanie na parkingach. To nas dodatkowo zachęciło, żeby zabrać go na najwyższe wzniesienie na Litwie. To była ta jednodniowa wycieczka, którą króciutko opisałem [tutaj](#).

Wraz z końcem sierpnia byliśmy gotowi skorzystać z dokonanej (znacznie wcześniej) rezerwacji w pensjonacie w Kals am Großglockner. Było to stresujące przedsięwzięcie, ponieważ do tej pory sypialiśmy w namiocie na lodowcu, a teraz mieliśmy mieć pokój z łóżkiem. Nie mieliśmy pojęcia, czy sobie z tym poradzimy.

Podróż w tamtą stronę podzieliliśmy na 2 części, bo była to doskonała okazja, żeby odwiedzić przyjaciół pod Monachium. Na drugi dzień od wyjazdu z Polski zameldowaliśmy się w dzielnicy Glor w Kals. Już sami właściciele okazali zaskoczenie (nie)wielkością bobasa. On już wtedy przecież całe 4 miesiące miał skończone. Takich zaskoczonych ludzi, szczególnie na szlakach, jak się możecie domyślać, spotkamy jeszcze wielu. Wrzuciliśmy graty do pokoju i jeszcze popołudniu ruszyliśmy szlakiem w kierunku Lucknerhaus. Tego dnia dotarliśmy do wysokości ponad 1700 metrów i zawróciliśmy. Już wiemy co chcieliśmy wiedzieć – na pewno da się.

Poniżej opiszę w formie relacji kilka tras, pięknych widokowo,

jednocześnie dostępnych dla wózków.

### **01.09**

Kals (1325), Großdorf (1364), Taurer (1500) – Wycieczki między tymi miejscami są o charakterze mieszanym – przyrodniczo-miejskim, są dobre na rozruch. Trasa 38 jest już bardziej dzika i prowadzi z Glor (1385) na Hängebrücke (1420). We wszystkich tych miejscach są bezpłatne parkingi.

### **02.09**

Tego dnia udajemy się szlakiem nr 702B do Lucknerhaus. Masywna sylwetka Grossglocknera majaczy przed nami. Na wysokości niemal 2100 metrów decydujemy się zawrócić. Stroma, ale gładka, dojazdowa droga doprowadziłaby nas do Lucknerhutte, jednak odpuszczamy. I tak jesteśmy tym dniem w pełni usatysfakcjonowani.

### **03.09**

Kolejnego dnia przyjeżdżają wspomniani już wcześniej Dawid, Monika i mała Emilka z Niemiec. Podczas, gdy ja z Dawidem wspinaliśmy się na okoliczny szczyt (historię opiszę osobno), dziewczyny z dziećmi w wózkach poszły zwiedzać dolinę Dorfertal. Aga twierdzi, że była to najpiękniejsza z dolin jakie odwiedziliśmy. Koniecznie trzeba zabrać ze sobą latarki, w pewnym miejscu przechodzi się przez tunel w skale długości paruset metrów. Oczywiście ominięcie go szlakiem na zboczu nie wchodzi w grę, kiedy turystkami są dwie karmiące matki pchające wózki [komentarz Agi po przeczytaniu tego akapitu: „Tamtędy się da przejść, tylko, że jest wąsko, jest przepaść i na wózek leje się woda z wodospadu. Ogólnie do przebycia, szczególnie po karmieniu, kiedy dzieci śpią. Tylko, że nierówno, a w tunelu równiej więc zawróciłyśmy”]. Dodatkowo Aga poleca kawę mrożoną w Berger Alm.

### **04.09**

Następnego dnia ruszyliśmy z wózkiem w kierunku Blauspitz. Auto zaparkowaliśmy przy żółtym domku powyżej kolejki. Miejsce to na mapie oznaczone jest jako Tumbler (1420). Stąd dosyć

stromo, dojazdową drogą dotarliśmy do Glocknerblick na wysokości 1944 m. Nieco powyżej granicy 2000m, na łące z krowami, wpadam na pomysł, by wysłać Agę na szczyt Baluspitz (2575). Do pokonania ma nieco ponad 500 metrów przewyższenia i musi to zrobić szybko. W momencie, kiedy zaraz po nakarmieniu dziecka rusza w górę zaczynam czuć strach. Rzadko tak miewam, ale jak tu być spokojnym, kiedy zostałem sam z dzieckiem. Bo ja się nie bałem o Agę, wiedziałem, że sobie poradzi. Ja się o siebie bałem. I to pewnie tym strachem ściągnąłem krowią klątwę. Najpierw podeszła do nas jedna krowa i zaczął się ocierać o drzewo, a kilka minut później z góry zaczęła galopować na nas druga. Wściekła krowa, szarżująca prosto na Dzika trzymającego małego Michałka na rękach. Używając pozostałej ręki i zębów zbierałem cały majdan – chustę, gondolkę, kocyk i zabawki i uciekałem do drogi. Zaniepokojony wydarzeniami, przypadkowy turysta pomógł mi się spakować do wózka. Chciałem jak najszybciej znaleźć się na dole, tym bardziej, że wiedziałem, że muszę jeszcze przejść jeden odcinek wśród krów. Na szczęście te były spokojniejsze i pomknąłem z wózkiem w stronę parkingu. Taktycznie starałem się jednak trzymać takie tempo, żeby Aga nas dogoniła, zanim mały zgłodnieje. Ostatecznie wszystko skończyło się szczęśliwie, Aga weszła na szczyt w ciągu jednej godziny (ponad 500 metrów!) i dogoniła nas na czas. Ja tymi krowami jeszcze potem nieco postraszę, bo żarty żartami, a to jest jednak pewne ryzyko, jak się dowiedziałem.

## **05.09**

Na południe od Lienz znajduje się jezioro Tristacher See. Bardzo ładne miejsce, można się wykąpać na strzeżonej plaży (w sezonie), jest też pole namiotowe. W tle Dolomity Lienzerskie. My zrobiliśmy sobie spacer wokół jeziora, pokarmiliśmy kaczki, których karmić nie wolno (za późno przeczytaliśmy kartkę) i zdecydowaliśmy się odwiedzić dolinę Debanttal. I ja tę dolinę gorąco polecam. Piękne widoki i możliwość podziwiania kształtnej sylwetki szczytu Glödis (3206). Dolina jest bardzo długa (16km!), ale dosyć daleko można dojechać

autem. Parking znajduje się aż w miejscu nazwanym Seichenbrunn (1650). Stąd, już koniecznie na nogach, kierujemy się do Lienzerhutte. Nie dane nam było jednak tam dojść. Późna pora i niepewna pogoda coraz bardziej odbierały na pewno siebie. Jednak wiedzieliśmy, że do schroniska pozostał może jeden zakręt i jakieś 500 metrów, zatem Aga poszła na zwiad. I kiedy zobaczyłem, że Aga do mnie ze wspomnianego zakrętu macha, to pomyślałem, że widocznie mam do niej iść bo schronisko tuż tuż. Tylko... czemu ona tak macha i biegnie w moim kierunku? I wtedy słyszę: „KR000WY IDAĄĄ!”. Więcej mi nie trzeba było słyszeć – w tył zwrot i rura na dół. I już wiedziałem, po co nam wózek do biegania – żeby przed krowami uciekać. Biegliśmy około kilometra, aż do małej osady na uboczu. Tam mieliśmy przynajmniej miejsce, żeby usunąć się z drogi. Ale te krowy cwańsze były i stanęły na naszej powrotnej drodze. Minął nas tylko autem pan, który jadąc zgonił z góry to stado. Jak się możecie domyślić – dziwnie na nas popatrzył.

## **06.09**

Wczorajsza przygoda zakończyła się szczęśliwie. Zresztą, tak jak krowy bronią swoich młodych, tak pewnie Aga rozniosłaby całe stado, gdyby wyczuła, że jej Dziczątko jest zagrożone. Co dziś? Zimno i deszcz! Cudownie! To pierwszy dzień, kiedy nasze nogi mogą odpocząć (no bo jak można pozowlić sobie na odpoczynek w górach, kiedy jest pogoda?). Leje okropnie, trochę nawet taki prawie śnieg z deszczem. Z balkonu podziwiamy piękną tęczę nad miasteczkiem.

## **07.09**

Tego dnia o 5:30 wychodzę na okoliczny 3-tysięcznik. Ten wypad opiszę osobno, bo historia z tą górą będzie miała dalszy ciąg, zakończony morałem zresztą. Co z trasami wózkowymi na dziś? Aga za namową Pani Schnell podjeżdża do Oberlesach. Tu, na wysokości 1420 metrów jest prywatny, płatny parking [parking bezpłatny jest w Oberlesach również, ale niżej]. Płatność reguluje się, poprzez wrzucenie 3€ do bańki na mleko z napisem „Kasse – 3€/Tag – Danke”. Cena nie wygórowana delikatnie



mówiąc, a jakby tego było mało, to jeszcze jakieś tajemne siły umieszczają za wycieraczką regionalną pocztówkę albo prospekt turystyczny. Stąd Aga wpycha wózek do chatki w Glorergartenalm (1804). Urocze miejsce ze wspaniałym widokiem na Kals i okoliczne szczyty. Popołudniu dołączam do żony i dziecka. Dostaję się tam bezpośrednio z Glor – wspinając się szlakiem przez strome, zalesione zbocze. Po wypiciu kawy z zagotowanej na piecu górskiej wodzie (i oczywiście nakarmieniu Michała) udajemy się już wspólnie drogą do samochodu. Przy okazji „zaglądamy” w bok do doliny Lesachtal i już wiemy, że będzie ona naszym celem jeszcze podczas tego urlopu.

## 08.09

Tym razem ruszamy nieco dalej od domu. Najpierw podjeżdżamy samochodem do Erlsbach, u wylotu doliny Defereggental. Tam, na wysokości 1549 m. znajduje się przy szosie parking. Można podjechać jeszcze parę km dalej, do Oberhausalm (1768), wtedy po drodze mijamy Patscher Alm (1685) – jest to dokładnie to miejsce, z którego kiedyś przyatakowaliśmy [Hochgall i Barmer Spitze](#). Jednak ta trasa jest już płatna, a bilet kosztuje 6€. Tego dnia z wózkiem dotarliśmy do Seebachalm (1879) i postanowiliśmy zawrócić. Ale... wg mapy droga prowadzi znacznie dalej. Mija Jagdhausalmen (2009) po stronie austriackiej i wspina się na przełęcz Pass di Gola (2288) na granicy z Włochami. Następnie schodzi w dół, zagłębiając się w teren włoskich Dolomitów. Może jest to potencjalna trasa na kilkudniowy rajd z dzieckiem w wózku? Jeśli ktoś to sprawdzi to proszę o taką informację. Wracając wstąpiliśmy do znajdującej się przy parkingu w Oberhausalm restauracji. Zamówiliśmy suty obiad składający się ze świni w kapuście i zaczęliśmy zajadać się na raty, bo Michałek domagając się uwagi konkurował ze świnia. Widząc to, właściciele postanowili się Małym zająć. Nosili go na rękach i rozmawiali z klientami, co bardzo ucieszyło tego naszego małego społecznika, Obywatela Świata. Po skończonym posiłku okazało się, że nie mamy pieniędzy, bo portfel został na dole w aucie. Ugadałem się, że zostawię żonę i dziecko jako zabezpieczenie i ruszyłem

biegiem w dół. Niestety już po paru krokach dała o sobie znać w moim brzuchu świnia w kapuście. Nie tylko nie mogłem biec, otóż ja ledwo mogłem chodzić. Do tego potwornie zachciało mi się pić (w ramach oszczędności oczywiście posiłek zamówiliśmy „na sucho”). Życie uratowało mi zjeżdżające z góry starsze małżeństwo (a jakżeby inaczej, od tygodnia nie spotkaliśmy nikogo w wieku przedemerytalnym). Zabrali mnie na stopa i w ten sposób bardzo szybko znalazłem się na dole. Oczywiście wróciłem już samochodem, żeby nie prowokować świni do wyjścia z powrotem. Po drodze minąłem schodzącą żonę (z wózkiem), która wyswobodziła się z niewoli grożąc użyciem płaczącego dziecka. Szybko załatwiłem sprawę w restauracji (szczególnie głupio mi było, bo nie zapłaciliśmy rachunku mimo tak fachowej obsługi przy dziecku) i wracając zgarnąłem rodzinę do samochodu. Przygoda zakończona.

## **09.09**

Ostatniego dnia znów udajemy się do Oberlesach. Parking, bańka na mleko, 3€/Tag, widokówka za wycieraczką itd. Tym jednak razem wchodzimy we wspomnianą wcześniej dolinę Lesachtal. Znów wybieramy dojazdową drogę i nią docieramy do Lesachalmhutte (1818). Po drodze mijamy uroczą kapliczkę, wokół niej kwiaty w donicach. Aga zastanawia się, kto o te kwiaty tutaj w górach tak dba. Czytamy powieszoną kartkę: „Jeśli kwiaty mają sucho, proszę podlać” – i to jest kwintesencja tego, co można by opisywać długo i różnymi słowami. Ta bańka z napisem „Kasse”, te kwiaty... to są spotykane tu na każdym kroku dowody, jak może funkcjonować społeczność, społeczeństwo, a może i cały naród. Mimowolnie umysł podsuwa mi obrazy, jakby to wyglądało w Polsce. I wtedy źle mi się robi i myślę, czy to wina jakichś spapranych genów, czy historii, czy czego. Bo w takich miejscach raczej prędzej niż później pojawiłyby się te mordy wściekłe na cały świat, umazały sprayem słup i ścianę, spaliły śmietnik i zniszczyły z buta co dałoby się butem sięgnąć. Przecież to nic innego jak źle spożytkowana energia. I to taka energia, która wiele dobrego mogłaby zdziałać, gdyby nie to fatalne, negatywne zapętlenie. Ale to temat ponury, nie ma co

go ciągnąć, tym bardziej, że pozytywnych perspektyw rozwiązania problemu póki co nie widać.

Przedstawiłem kilka tras, propozycji, gdzie można się udać z wózkiem dziecięcym. Nie każdym – o tym poniżej. I nie z każdym dzieckiem pewnie, ale ja nie wiem jak to jest z innymi, bo mam jedno. Sami sprawdźcie. My postawiliśmy na to, że Michał od urodzenia będzie poznawał świat, nawet zanim będzie miał cokolwiek do powiedzenia. I może dlatego tak dobrze to znosi?

Najbardziej istotna kwestia, jeśli chodzi o sprzęt, to oczywiście wózek. My zakupiliśmy Bob Revolution SE i powiem zupełnie szczerze – wciąż nie znalazłem wady. Pod każdym kątem uważam, że wózek jest doskonale przemyślany. Ale to nie jest blog o wózkach, więc daruję sobie szczegółowe opisy. Co dla nas najważniejsze – świetnie się spisuje na szlakach i podczas ucieczek przed krowami.

-END-